Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 3/133 3.11.1944 6d.

ROK V.

TREŚĆ NUMERU TRZECIEGO

OKŁADKA: Droga wiejska na Pińszczyźnie...

Rozwiązanie zagadki z numeru pierwszego:

Józef posiadał dwie monety 50-ciogroszowe.
Andrzej monetę jednozłotową i 50-ciogroszową.
Bohdan dwie monety jednozłotowe.

Dobre rozwiązania nadesłali:
Kpr.L.Z. - R.A.F. Station, Halton, Bucks.
Pdch.B.W. -P/29.
Por.J.Z. - P/50.

KOMUNIKAT.
Dyrekcji Państwowego Liceum Handlowego.

Ośrodek Kształcenia Handlowego /34, West George Street, Glasgow C.2./ - przyjmuje zgłoszenia kandydatów do czwartej klasy Gimnazjum Kupieckiego.
Podania kandydatów, którzy ukończyli 3 klasy Gimnazjum Kupieckiego, przyjmuje się w terminie do dnia 1. lutego 1944 r.

Prosimy Czytelników o wpłacanie prenumeraty za kwartał lub I półrocze z góry, nie czekając na listowne wezwania i rachunki. Tego rodzaju robota zbyt obciąża szczupły personel Redakcji.
Swietlice, Sklepy Polskie i PP.Oficerów Oświatowych prosimy o regulowanie należności w terminie miesięcznym, najdalej zaś w końcu każdego kwartału.

Posiadamy na składzie ograniczoną ilość roczników "Co Słychać" z lat 1942 i 1943, oraz pojedyncze egzemplarze z 1941 roku. Cena za rocznik S.12/- oraz 6d. za numer pojedynczy, łącznie z opłatą pocztową.

Surowe jaja — a organizm ludzki.

Sześć tuzinów surowych jaj tygodniowo - oto było stałe pożywienie pewnego włoskiego robotnika w Stanach Zjednoczonych. Zapijał sobie przy tym od jednej do czterech kwart wina dziennie. "Ciasto i piwo" dla niego nie istniały, jedynie "jajka i wino" i to spożywane na surowo. Od najmłodszych swych lat przepadał za jajkami. Skłoniło go to nawet do założenia sobie kurzej farmy.

Jednak po pewnym czasie takiego odżywiania się zachorował na przykrą skórną chorobę i zapalenie oczu. Lekarz był wprost uderzony podobieństwem przebiegu infekcji u Włocha do choroby sztucznie wywołanej u szczurów przez stałe karmienie ich białkiem kurzego jaja. Gryzonie po takiej diecie łysiały, chudły, a mięśnie ich stawały się jakby sztywne - jednym słowem objawy "starszego pana". Specjaliści nazywali tę postać chorobową "chorobą kurzego białka".

Gdy w 1942 roku w Wielkiej Brytanji było bardzo mało jaj, oczywiście po za książką kucharską pani Beaton /jest to jak się należy domyślać brytyjska pani Cwierciakiewiczowa, ta co to pamiętacie: "weź dwie kopy jaj, cztery funty świeżego masła, cukru, rodzynków, dodaj ćwierć funta czystej pszennej mąki i baba wielkanocna gotowa!" /przypisek streszczającego/, dietetycy amerykańscy opychali swych ziomków - amatorów olbrzymimi ilościami surowych jaj, w następstwie czego wszyscy oni zapadli na zupełnie podobną skórną chorobę, co stary Włoch i szczury. Czuli się przy tym fatalnie, a podbródki ich dziwnie zszarzały.

Przyczyną tych objawów był pewien rodzaj białka /proteiny/ zawartego w białku kurzego jaja, a zwanego "avidin´ą" po łacinie "żarłoczny". Stwierdzonym zostało iż "avidina" pożera witaminę zwaną "biotiną" /po grecku "życiodajny"/, pozbawiając ustrój zwierzęcy lub ludzki koniecznej dla niego "biotiny" i w końcowym efekcie dając tę dziwną, wyżej opisaną chorobę. Biotina jest witaminą oznaczaną czasem jako witamina H. Avidina jest oczy-

wiście "antywitaminą". Witamina D jest również witaminą, której brak w organiźmie powoduje krzywicę. Lecz nawet jeśli w pożywieniu jest dość "biotiny" czy innej witaminy, nadmiar "antywitaminy" w organiźmie niweczy wartość dodatnią pożywienia. Wniosek z tego taki, że jeść należy jaja gotowane i wtedy są one nieszkodliwe.

Sprawa biotiny na tym się nie kończy. Zauważono, że komórki nowotworowe, a zwłaszcza raka zawierają bardzo dużo biotiny. Wysnuto z tego wniosek, że do swego rozwoju potrzebują one właśnie tej witaminy, więc przez pozbawienie organizmu biotiny, możnaby, wydaje się, uniemożliwić dalszy rozwój raka. Niestety eksperyment ten wykonany przez amerykańskich lekarzy nie dał żadnego pozytywnego wyniku.

Dotychczas nie udało się jeszcze uratować życia ludzkiego przez wyleczenie raka /nieoperacyjnie/; są pewne podstawy do przypuszczeń iż z rakiem, rozwijającym się w gruczole krokowym, medycyna może dać sobie radę przez wprowadzenie do organizmu chorego, żeńskiego hormonu płciowego. Widocznie w tym przypadku hormon żeński zabiera z ustroju chorego coś, co jest konieczne do rozwoju raka.

Pomysł blokady, a więc pozbawienia komórek koniecznego materiału odżywczego przez podanie organizmowi "antyciała", jest pomysłem zdrowym.

Biotina nie jest jedyną witaminą, posiadającą swą antywitaminę. Ryby, a mianowicie karp, zawiera w sobie antywitaminę, która niweczy działanie witaminy B 1. Jeśli w hodowli sztucznej srebrnych lisów karmić je surowymi karpiami, lisy po pewnym czasie zapadają na specyficzną chorobę mózgową, powodując ruinę materialną hodowcy. U ludzi spostrzegano również bardzo podobny rodzaj choroby umysłowej.

Tran zawiera antywitaminę, która niweczy witaminę E, znaną jako witaminę rozrodczości. Bardzo modne ostatnio preparaty sulfhamilamidowe - M i B 693 nie zabijają drobnoustrojów chorobowych w organiźmie, lecz po prostu pozbawiają je niezbędnego do ich rozwoju i istnienia pożywienia. Każdy żywy ustrój jest jakby polem nieustającej walki: walczy tam jeden związek chemiczny z innym chemicznym

związkiem, walczy drobina z drobiną, witamina z antywitaminą, hormon z antyhormonem. Postęp chemji, a zwłaszcza biochemji jest olbrzymi, dzięki niemu otwierają się dla świata tajemnice, strzeżone dotąd zazdrośnie przez najmniejszą jednostkę biologiczną, jaką jest żywa komórka. Pamiętać jednak zawsze należy, że droga pomiędzy pracą laboratoryjną, a zastosowaniem jej wyników przez lekarza w praktyce, jest bardzo długą i wymagającą ustawicznych prób i doświadczeń.

Dopiero na podstawie wyników, otrzymanych po wielu latach pracy, medycyna stosować może nowe, cudowne niemal sposoby leczenia.

Czy nadchodzi epoka rakiet?

W ostatnich czasach bardzo wiele słyszymy o pociskach i samolotach rakietowych. Dla bliższego oświetlenia podajemy na ten temat streszczenie artykułu z THE AMERICAN MERCURY pióra Harland'a Manachester.

W czasie bitwy w Tunisie sześć niemieckich czołgów posuwało się w kierunku amerykańskich pozycji. Nagle tuż obok jednego z czołgów przeleciał pocisk i wybuchł w pobliżu z taką siłą, że wywrócił wielkie drzewo. Dowódca niemiecki, będąc doświadczonym oficerem, zatrzymał oddział i poddał się. "Jeżeli do czołgów zaczynacie strzelać z dział 155 mm., to niema na co czekać, tylko się poddać" - wyjaśnił później Amerykanom ze spokojem zawodowca. Wtedy z ukrycia wyszedł jeden samotny amerykański żołnierz. Na ramieniu niósł metalową rurę z różnymi, dość prostymi przyrządami. Była to t.zw. "bazooka", fenomenalny moździerz rakietowy, który dokonał prawdziwej rewolucji w walce z czołgami.

Opisany wyżej wypadek jest jednym z wielu oficjalnych sprawozdań na temat fantastycznych rezultatów działania tej nowej broni.

"Bazooka" jest tak prostą, a jednocześnie tak potężną bronią" powiada gen. Campbell, szef amerykańskiej służby uzbrojenia - że może używać jej każdy piechur z pełną świadomością, że potrafi zatrzymać czołg, posuwający się w natarciu".

Aby zdać sobie sprawę z wartości "bazooki", wystarczy przytoczyć, że 155 mm. działo, o którym

mówił niemiecki oficer, jest cieżką machiną, przewożoną przez 7-o tonowy samochód. Posuwać się może tylko po twardym gruncie, musi być doskonale zamaskowane oraz posiadać liczną i dobrze wyszkoloną obsługę.

Tymczasem "bazooka" jest przenoszona przez jednego człowieka, który może z nią wbiec na wzgórze, wystrzelić przeciwpancerny pocisk i odejść spokojnie, zanim nieprzyjaciel zorientuje się, kto do niego strzelał. Jednym słowem jest to działo o wadze piórkowej, z którego strzela jeden człowiek.

Działo rakietowe działa również skutecznie przeciwko stali i grubym murom. W czasie lądowania we Włoszech natknięto się na silny blokhauz, mający pod swym ogniem całe wybrzeże i utrudniający lądowanie z desantowych barek. Żołnierz z bazooką przebrnął na brzeg i oddał tylko jeden strzał do blokhauzu. Pocisk przebił ścianę a cała załoga natychmiast wybiegła nazewnątrz z podniesionymi rękami.

Nowa broń jest niesłychanie prosta. Jest to rura o cienkich metalowych ścianach, długości 54 cale i 3 cale średnicy, otwarta z obydwu stron i zaopatrzona w dwa uchwyty, kolbę, oraz baterię i elektryczny obwód, służące do wyrzucania pocisku. Tylna część rury spoczywa na ramieniu strzelca i to dało powód do nazwania nowej broni "bazooka", gdyż ten sposób użycia czyni ją nieco podobną do dziwacznego instrumentu muzycznego.

Zwykle obsługują broń dwaj ludzie. Jeden stoi z tyłu, ładuje pociski, a drugi naciska spust, zamykający obwód elektryczny i zapalający ładunek, który wyrzuca pocisk z rury. Ramię strzelca odczuwa bardzo lekki odrzut, w czasie opuszczenia lufy przez pocisk.

Brak odrzutu wyjaśnia tajemnicę "bazooki" i wszystkich dział rakietowych. W zwykłym karabinie i dziale artyleryjskim cały ładunek, który nadaje pociskowi szybkość początkową, wybucha od razu. Natomiast pocisk "bazooki" zużywa swój ładunek wybuchowy w czasie drogi stopniowo, dopóki nie doniesie do celu zawartości wysoko-wybuchowego materiału, umieszczonego w samej głowicy. Można więc powie-

dzieć, że pocisk bazooki zabiera ze sobą poruszający go motor, a cała praca żołnierza polega na skierowaniu pocisku w kierunku celu i wyrzuceniu go z lufy. Nawet rekrut z łatwością i szybkością uczy się obsługiwania tej broni i wobec tego patrole wywiadowcze oraz kierowcy wozów zaopatrujących armię, zabierają ją ze sobą, gdyż daje ona im możność stworzenia silnego ognia nawet z bliskiej odległości.

"Bazooka" nie jest oczywiście pierwszym działem rakietowym, jakie ukazało się w czasie drugiej wojny światowej. Rosja i Niemcy prowadziły od wielu lat doświadczenia nad tego rodzaju działami. Rosjanie posiadają działo zwane "Katiusza". Jest to działo, którego skuteczność ognia odpowiada ciężkiej artylerii, lecz jest ono tak lekkie, że można z niego strzelać ze zwykłej ciężarówki. Poza tym mamy wiadomości o innym dziale rosyjskim, które wyrzuca odrazu 20 - 30 pocisków przeciwpancernych i pokrywa nimi dość znaczną przestrzeń - jest to jakby dubeltówka na dużą skalę.

Rosjanie używali pocisków rakietowych bez metalowych rur. W ostatniej fazie bitwy pod Stalingradem wybudowano długie szeregi pochylonych drewnianych płotów, podobnych do pochyłych desek, używanych przez chłopców do wyrzucania sztucznych ogni. W dniu 4-go lipca pociski rakietowe wagi 50 funtów każdy, wyrzucane były z szybkością, równą szybkości ustawienia ich na płotach. Ten system obrony zupełnie zdemoralizował atakującego nieprzyjaciela.

Dziesięć lat temu major Seversky przewidział użycie dział rakietowych na samolotach. Obecnie jest to już najnowsza broń. Niemieckie samoloty myśliwskie są wyposażone w nią i w ostatnich nalotach na Niemcy Latające Fortece poniosły z tego powodu znaczne straty.

Rosjanie już rok temu zastosowali rakiety w powietrznej walce. Użyli je na samolotach typu STORMOVIK z takim skutkiem, że Niemcy nazwali te samoloty: "czarną śmiercią". Bomby rakietowe były podwieszone pod skrzydłami samolotu i nadawano im kierunek przez skierowanie samolotu na cel. Z powodu wielkiej siły niszczącej i dużej celności Niemcy sądzili, że mają do czynienia z bombowcami

nurkującymi. Tymczasem STORMOVIK przeprowadzał swe zadanie z tym samym skutkiem i tak samo celnie, jak bombowce nurkujące, ale jednocześnie nie musiał wykonywać długiego, prostego i niebezpiecznego lotu nurkowego, w czasie którego samolot nurkujący jest łatwym celem dla artylerji przeciwlotniczej.

Podstawa, teoretyczne zasady oraz możliwości użycia rakiety jako narzędzia wojny, były znane od dawna. Już Wiliam Congreve, brytyjski inżynier z przed 140 lat, proponował użycie tej tajemniczej broni przeciwko Napoleonowi. Konserwatywni oficerowie floty drwili sobie z niego, lecz wkrótce "szmermele pana Congreve" pokazały, co potrafią. Ustawione na małych okrętach, z odległości 3.000 jardów, użyte zostały jego rakiety do zbombardowania Boulogne. W czasie lądowania brytyjskich wojsk w Dalmacji zastosowano je z tak doskonałym skutkiem, że wojska napoleońskie poddały się, skarżąc się przy tym, że użyto przeciw nim "niewojskowej" broni. Rakieta była poważną bronią w walce morskiej aż do połowy XIX wieku, dopóki nie wynaleziono broni odtylcowej, posiadającej większą donośność oraz gwintowane lufy.

W czasie pierwszej wojny światowej działa rakietowe nie odegrały żadnej roli, lecz wkrótce po jej zakończeniu potworzyły się w Ameryce, Rosji, Niemczech i Austrii stowarzyszenia entuzjastów pocisków rakietowych. Niektórzy z nich pracowali nad użyciem dużych rakiet, kierowanych od wewnątrz, jako środka komunikacji międzyplanetarnej. Wielu z nich straciło przy tych doświadczeniach życie lub też odniosło ciężkie rany. Pewien młody austriacki inżynier zorganizował rakietową pocztę, przez wyrzucanie pocisków poprzez szczyty górskie. Gdy ładunek wybuchowy się wyczerpywał, otwierał się spadochron i worek z pocztą opadał wolno na ziemię. Filateliści płacili duże pieniądze za specjalne znaczki, używane przez tę osobliwą służbę pocztową i przedsiębiorstwo było dobrym interesem handlowym.

Skromny profesor fizyki w Worcester w stanie Massachusette zasłużył się jednak najbardziej w dziedzinie doświadczeń nad pociskami rakietowymi. . Dr. Robert Goddard nieudolną, mało wydatną i niedokładną rakietę zrekonstruował według zasad mechaniki. Zbu-

dował on żyroskopowy stabilizator, który zapewniał równy lot na dużych wysokościach. Porzucił on proch jako materiał napędowy i zastąpił go mieszanką benzyny i płynnego tlenu. W ten sposób potrafił zwiększyć szybkość posuwania się z 1ooo stóp na sekundę do 75oo stóp, a wydajność siły - jeśli traktować materiał napędowy jako motor - z 2% do 40% Taka wydajność jest większa niż w motorze Diesela, uważanego za najbardziej wydajny motor na świecie.

Pracując przez 10 lat bez rozgłosu, Goddard ogłosił w 1919 r. wyniki swych prac. Praca jego, zredagowana w powściągliwym i niepociągającym języku naukowym, nie zwróciła na siebie uwagi publiczności. Potrafiła ona jednak pobudzić do myślenia tych wszystkich, którzy marzyli o komunikacji międzyplanetarnej. Rakieta w próżni porusza się szybciej niż w powietrzu. Poza tym przypuszczalnie, jeżeliby udało się wyrzucić rakietę ponad otaczającą ziemię atmosferę powietrzną, mogłaby ona tam poruszać się bez przerwy, byłaby bowiem poza zasięgiem siły przyciągania ziemi i mogłaby pożeglować na księżyc, na Marsa i wogóle wszędzie.

Badania naukowe nad rakietami, poruszającymi się na wielkich wysokościach, przyczyniły się w dużym stopniu do zbudowania dzisiejszych pocisków rakietowych oraz do nieznanych nam jeszcze pocisków przyszłości. Cztery lata temu pewien oficer amerykańskiej służby uzbrojenia nie tylko przepowiedział wynalezienie "bazooki" lecz wprawił w zdumienie swych kolegów, przepowiadając całkowity przewrót w artylerii. Przyszłość rakiety nie jest związana jedynie z wojną. Nie jest to tylko pocisk, jest to motor o dużej wydajności i dużych możliwościach energetycznych. Brytyjskie ministerstwo lotnictwa ogłosiło niedawno, że samoloty typu CATAFIGHTER, które startują z pokładów statków handlowych, używają do startu energii rakietowej. Te próby służą jako dowód, że rakieta może być zastosowana do całkowitego napędu samolotów. Dr Goddard opatentował swój wynalazek rakietowej turbiny, która pozwala na osiągnięcie w stratosferze 1ooo mil na godzinę. Badania nad rakietami posuwają się szybko w różnych kierunkach. Być może, że stoimy na progu epoki rakietowej.

Cicha noc, święta noc.

Hertha Pauli w książce p.t. "SILENT NIGHT" opisuje ciekawą historię skonponowania przed 125 laty szeroko znanej kolędy "CICHA NOC" oraz wprowadzenia jej w świat przez czworo tyrolskich dzieci.

24-go grudnia 1818 r. w zapadłej wiosce Hallein, położonej w Alpach austriackich, ksiądz Józef Mohr siedział samotnie w swym gabinecie i czytał biblię. Był to dzień wigilijny i zbliżał się czas pasterki. Najwięcej podnieconymi były dzieci, które miały o północy udać się z rodzicami do kościoła. Schodząc w dolinę po zamarzniętych drogach, niosły one pochodnie i cała okolica wyglądała wówczas jak choinka z setkami ruchomych świeczek.

Młody ksiądz nie miał jednak czasu patrzeć na ten wspaniały i miły widok. Siedząc nad otwartą biblią, przygotowywał sobie kazanie, które wkrótce miał wygłosić na pasterce. Po raz drugi czytał on opowieść o pasterzach, którym ukazał się w polu anioł i rzekł: "W mieście Dawida urodził się wam dziś Zbawiciel".

W momencie gdy ksiądz Mohr skończył ten ustęp, zastukano do drzwi. Na progu stanęła biednie ubrana kobieta, mówiąc, że żona ubogiego węglarza urodziła dziś rano dziecko. Rodzice wysłali ją do księdza z prośbą, aby zechciał ochrzcić i pobłogosławić dziecko.

Ksiądz Mohr głęboko się wzruszył w czasie pobytu w ubogiej chatce węglarza widokiem młodej matki, uśmiechającej się szczęśliwie do śpiącego w jej ramionach dziecięcia. Scena ta w niczym nie przypominała żłobka w Betleem, lecz ostatnie słowa, przeczytane w biblii wydały mu się nagle skierowane wprost do niego. Gdy wracał do doliny, ujrzał ogromne jej zbocza oświetlone pochodniami górali, idących do kościoła, a we wszystkich wioskach dalekich i bliskich rozbrzmiewały dźwięki dzwonów.

Księdzu Mohrowi wydarzył się jakby rzeczywisty cud Bożego Narodzenia. Po pasterce, siedząc w swym pokoju, spróbował opisać całe zdarzenie. Słowa same składały się w wiersze i rymy i o świcie dzieło

było gotowe. Następnego dnia, w dzień Bożego Narodzenia jego przyjaciel, Franciszek Ksawery Gruber, nauczyciel muzyki w wiejskiej szkole, skomponował do pieśni odpowiednią melodię.

Dzieci wiejskie słyszały, że ksiądz i nauczyciel śpiewają jakąś pieśń. Organy wiejskie były zepsute śpiewali ją przeto przy akompaniamencie gitary. "Pan Bóg usłyszy nas i bez gitary" - powiedział Gruber. Nie wiedzieli obaj, że stworzyli wówczas kolędę, która będzie znaną we wszystkich chrześcijańskich krajach i że pewnego dnia czworo dzieci uczyni tę pieśń sławną po wieczne czasy.

W dolinie Zillertal w austriackim Tyrolu z pośród wszystkich dzieci najpiękniejsze głosy miała czwórka młodych Strasserów: Karolina, Józef, Andrzej i Amelia, zwana Maly, nie umiejąca jeszcze nawet poprawnie wymawiać słów. "Ci Strasserowie śpiewają jak słowiki" - mówili ludzie z miasta. Rok rocznie na wiosnę czworo dzieci wędrowało do Lipska w Saksonii, gdzie odbywały się doroczne targi futrzane. Rodzice robili miękkie irchowe rękawiczki, a zadaniem dzieci było sprzedawać je. Tę rękawiczki były wówczas bardzo cenione i poszukiwane.

Lipsk w czasie targów był ożywionym miastem i dzieci z tyrolskich gór czuły się często zagubione w różnokolorowym tłumie. Wówczas robiły to samo, co w domu, gdy pragnęły dodać sobie odwagi - śpiewały chórem. Najczęściej zaś śpiewały swą ulubioną pieśń - "Pieśń z Niebios".

Karol Mauracher, słynny budowniczy organów, nauczył ich tej pieśni. Pewnego razu został on wezwany do sąsiedniej wioski dla zreperowania organów i po skończeniu pracy poprosił organistę o wypróbowanie ich. Organistą był Franciszek Gruber i mimowoli zagrał kolędę, którą skomponował dla księdza Mohra. "Nigdy nie słyszałem tej pieśni przedtem" - zawołał zdumiony Mauracher. "Czy pozwoli mi pan nauczyć jej moich uczniów, będą się nią cieszyć ogromnie". Gruber chciał napisać nuty, lecz Mauracher odparł, iż jest to zbędne. Pamięta setki innych pieśni i jedna więcej nie zrobi mu różnicy.

Wkrótce kolęda stała się bardzo popularna w dolinie Zillertal i nazwano ją "Pieśnią z Niebios". Czwórka dzieci stwierdziła także że pieśń ich

bardzo się podoba publiczności w Lipsku. Przechodnie zatrzymywali się aby jej wysłuchać i zachwyceni byli piękną melodią. Pewnego dnia jakiś starszy jegomość, który się przedstawił jako Pohlenz, generalny dyrektor muzyki w królestwie Saksonii, wręczył dzieciom bilety na jeden z koncertów, które prowadził regularnie w Gewandhaus - w starym domu cechu lipskich sukienników. Dzieci były zachwycone. Gdy jednak weszły na wspaniale oświetloną widownię, wypełnioną panami w cylindrach i damami w błyszczących sukniach, poczuły się nieswojo i były bardzo zadowolone, gdy zaprowadzono je na skromne miejsca poniżej sceny. Były olśnione muzyką lecz nie zdołały jeszcze przyjść do siebie, gdy przy końcu koncertu zaszło coś zgoła nieoczekiwanego. Dyrektor Pohlenz wstał i oświadczył, że na sali znajduje się czwórka dzieci o tak pięknych głosach, jakich nie słyszał od wielu lat. Zwrócił się do malców, aby zechcieli zaśpiewać dla króla saskiego i królowej oraz dla całego audytorium kilka tyrolskich piosenek.

Dzieciom zaparło dech w piersiach i twarzyczki ich zarumieniły się z wrażenia, gdy cała sala zaczęła bić brawo. "Zamknijmy oczy i niech nam się zdaje, że śpiewamy w domu" - szepnęła mała Maly. Na początek zaśpiewały "Pieśń z Niebios", a gdy skończyły, zapadła chwila skupionej ciszy, poczem jak grom, rozległy się oklaski zachwyconej publiczności. Dzieci śpiewały wszystkie znane im piosenki, a gdy wyczerpały swój repertuar, zaśpiewały ponownie "Pieśń z Niebios". Publiczność domagała się więcej pieśni, lecz na scenę wszedł urzędnik dworski i oświadczył, że król i królowa chcą pomówić ze śpiewakami. "Bardzo ładnie śpiewałyście, moje dzieci" - oświadczył im król. "Nigdy nie słyszeliśmy tej kolędy przedtem. Co to jest?" - "Jest to ludowa kolęda tyrolska, Wasza Wysokość" - odpowiedział Józef. - "Czy nie zechcielibyście przyjść na zamek i zaśpiewać jej w dzień Bożego Narodzenia? - zapytała królowa. "Nasze dzieci chciałyby ją usłyszeć i napewno będzie im się podobać".

W wigilię 1832 r. w kaplicy królewskiej w zamku w Pleissenburg czworo młodych Strasserów zaśpiewało przy końcu pasterki:

"Cicha noc, święta noc......"

W ten wigilijny dzień pieśń przestała być własnością czworga dzieci i rozeszła się szeroko po świecie.

Przez wiele lat w dniu wigilijnym "Pieśń z Niebios" śpiewana była w wiosce Hallein w domu, w którym Gruber mieszkał i zmarł. Śpiewał ją chór pod kierunkiem wnuka Grubera, akompaniującego na gitarze dziadka. Później co rok nadawano tę ceremonię zwyczajową przez radio - aż do 1938 r. gdy Austria została wytarta z mapy świata, a niewinna pieśń pokoju została zakazana. Lecz rozległy kraj muzyki, w którym ta pieśń panuje, nie zna granic. I "Niebiańska Pieśń", podobnie jak dobra nowina wigilijna, ciągle jeszcze rozbrzmiewa pośród ludzi dobrej woli.

Federacja Środkowej Europy.

Zagadnieniem przyszłości i organizacji Środkowej Europy zajmuje coraz więcej umysły polityków i wypełnia szpalty poważnych pism politycznych. W miarę rozwoju ofensywy rosyjskiej sprawa ta staje się coraz bardziej palącą i domaga się wyraźnego stanowiska ze strony naszych Sojuszników. Na łamach organu Francji Walczącej "LA FRANCE LIBRE" ukazał się na ten temat ciekawy artykuł pióra ODETTE KEUN, który w streszczeniu podajemy.

Większość Europejczyków, będąc ludźmi praktycznymi, chcieliby bardzo wiedzieć, jaka konkretna przyszłość i forma organizacyjna przeznaczoną będzie po wojnie staremu kontynentowi. Zachodnia część Europy, pod względem politycznym, nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Ta część, będąc w bezpośrednim zasięgu W. Brytanii, jest jakby pod opieką brytyjską i tym samym jej wysoce cywilizowane i demokratyczne kraje, będą mogły swobodnie kształtować swą przyszłość. Całkowicie odmienną jest sytuacja długiej i szerokiej europejskiej strefy środkowej i południowo-wschodniej, ciągnącej się od Bałtyku do morza Śródziemnego i obejmującej 14 państw - Finlandię, trzy bałtyckie państwa, Polskę, kraje położone w basenie naddunajskim /Czechosłowacja, Austria, Węgry, Jugosławia, Rumunia, i Bułgaria/ oraz kraje ściśle Bałkańskie /Turcja, Grecja

i Albania./ Ostatecznie los całej Europy zależy od kierunku, w którym pójdą kraje, położone w tej środkowej strefie, lub też raczej od kierunku, który im zostanie nadany czy narzucony.

Każdy inteligentny Europejczyk, sprzymierzeniec, wróg czy też neutralny, zdaje sobie doskonale sprawę, że zagadnienie trwałego pokoju w Europie jest nierozdzielnie związane z rozwiązaniem tego zagadnienia. Na tę rozległą i bogatą część Europy spoglądały pożądliwym okiem agresywne i wojownicze narody i państwa - Rzymianie, Hunnowie, Mongołowie, Turcy i Niemcy - i zawsze z tych samych politycznych, ekonomicznych i strategicznych powodów. Z jednej strony strefa ta posiada wielkie i rozliczne bogactwa naturalne, z drugiej zaś przebiegają przez nią najlepsze strategiczne i handlowe drogi z Europy do Azji oraz bezpośrednia droga lądowa na Bliski Wschód. W ten sposób zdobywca ze wschodu czy zachodu, który wtargnie głęboko w ten obszar, staje się posiadaczem ogromnych bogactw i możliwości oraz zdobywa bezpośredni wpływ na losy i układ stosunków w Europie i Azji. Gdy tylko w przeszłości bezpieczeństwo i równowaga sił w tej strefie zostały podważone przez jakiś silny i wojowniczy naród, oba kontynenty natychmiast narażone były na poważne niebezpieczeństwo. Geografia nie ulega zmianie - co było prawdą wczoraj, pozostaje prawdą i dzisiaj. Każde usiłowanie podboju Europy musi rozpocząć się od opanowania jej obszarów środkowych - jest to niezwykle cenna zdobycz, dzięki bogatym płodom rolnym, minerałom, nafcie, lasom, drogom wodnym i handlowym oraz korzyściom strategicznym. Jest to poza tym zdobycz łatwa, dzięki przerażającej słabości tej strefy. Z powodu swej sytuacji geograficznej, z powodu ciągłych inwazji i wędrówek ludów, oraz ze względu na przemieszanie się różnych ras i narodowości, kraje położone pomiędzy Bałtykiem a morzem Śródziemnym nie tylko nie potrafiły prowadzić wspólnej polityki lub zjednoczyć się przeciwko wspólnemu wrogowi lecz przez całe wieki pozostawały w Europie najbardziej zróżniczkowaną masą ludności, trudną do rządzenia i kierowania. Różnice, istniejące między nimi, nie zostały w żadnej mierze zmniejszone

przez upadek monarchii austro-węgierskiej w 1918 r., przeciwnie, przez ostatnie 25 lat byliśmy świadkami pogorszenia się sporów terytorialnych pomiędzy niektórymi z tych krajów, a we wszystkich obserwowaliśmy pogłębianie się trudności politycznych i gospodarczych. Głównymi przyczynami tego stanu rzeczy był ogólno-światowy kryzys gospodarczy, szkodliwe ograniczenia handlowe zastosowane przez W.Brytanię, Francję i Amerykę, pożądliwość faszystowskich Włoch i nazistowskich Niemiec i w końcu haniebna ustępliwość demokracji zachodnich wobec dyktatorów. W tych warunkach każdy atak z zewnątrz, przeprowadzony przez zdecydowanego i silnego napastnika, musiał skończyć się fatalnie dla tych państw. Hitler doskonale to rozumiał, gdy opracowywał plany podboju Europy: w pierwszej fazie rozszczepił strefę środkową przez zabór Austrii i Czechosłowacji, w drugiej zagarnął Polskę i państwa bałkańskie w kampanii 1940-1941 roku. Obalenie państw zachodniej Europy, a nawet upadek Francji nie dałyby Hitlerowi całkowitej realizacji jego śmiałych planów. Dopiero podbój i opanowanie strefy środkowej przybliżył go zdecydowanie do zamierzonego celu. Lecz to, co jest słuszne w stosunku do Hitlera jest słuszne w stosunku do każdego przyszłego napastnika, któryby miał taką samą szaloną ambicję podbicia i podporządkowania sobie całej Europy.

Dlatego też strefa środkowa <u>musi</u> być zabezpieczona ze wszystkich stron przeciwko <u>obcej</u> napaści. /Należy podkreślić słowo <u>obcej</u>, gdyż żadne z państw środkowej Europy nie przedstawia sobą śmiertelnego niebezpieczeństwa dla innych: żadne z nich nie jest na tyle silne, aby móc zagrażać, lub tym bardziej pochłonąć swych sąsiadów. Niebezpieczeństwo musi przyjść z zewnątrz tej strefy/. Rozwiązanie zagadnienia zabezpieczenia tego obszaru może być przeprowadzone dwojako: albo w drodze oddania go pod opiekę, innych mocarstw, albo też przez takie zorganizowanie, powiązanie i wzmocnienie tego obszaru aby mógł bronić się sam.

Trzeciego rozwiązania niema.

Pierwsza alternatywa musi być odrzucona. Wielkie państwa sojusznicze ogłosiły i uznały swoim głów-

nym celem wojennym - pełne wyzwolenie i oswobodzenie od obcego najazdu Polski, Czechosłowacji, Jugosławii i Grecji, to jest tych państw strefy środkowej, które walczą wspólnie z Sojusznikami. Najważniejsze układy i pakty jak traktat brytyjsko-polski z 1939 r. brytyjsko-rosyjski i rosyjsko-polski z 1941 r. potwierdzają i uznają przedwojenne granice Polski i Czechosłowacji oraz ich prawa suwerenne. Jeśli Zjednoczone Narody nie zaprą się i nie odrzucą istotnego charakteru i treści zawiązanej koalicji wojennej, to zmuszone będą zapewnić wszystkim państwom europejskim swobodę rządzenia się bez obcej interwencji. Narody, jęczące pod niemieckim jarzmem, i stawiające zdecydowany opór, dały dowody wysokiego patriotyzmu i poświęcenia. Mają one prawo żądać, ażeby ich cierpienia, ofiary i lojalność dla wspólnej sprawy nie były bezowocne. Będą się domagały jako swego niezaprzeczonego prawa, swobody urządzenia swego życia według własnych narodowych tradycji. Po zrzuceniu pęt niewoli, każda próba narzucenia im protektoratu, czy sfer wpływów, musi niewątpliwie doprowadzić do nowych wstrząsów i katastrof, z których korzyści wyciągną tylko Niemcy. Lecz wówczas już nikt na ziemi nie będzie dawał wiary słowom i zapewnieniom dzisiejszych wielkich Sojuszników.

Pozostaje więc drugie wyjście. Sprowadza się ono do takiego zorganizowania państw strefy środkowej, aby wspólnie były one dostatecznie silne i zdolne do obrony własnego terytorium. Można to uzyskać przez stworzenie federacji czternastu państw strefy środkowej. Myśl ta nie jest nową. Duży wysiłek w tym kierunku został zrobiony przez politykę Jagiellonów w XVII wieku. W XIX wieku powtórzyli tę próbę Habsburgowie, chociaż w zbyt wąskich ramach i bez uwzględnienia zasady politycznej wolności narodów. Dziś federacja tych narodów stała się nie tylko wskazaną, lecz bezwzględnie konieczną. Co więcej, jest to bardzo trzeźwe i praktyczne rozwiązanie zagadnienia. Ludność federacji liczyłaby 125 milionów. Wynosi to mniej niż ludność Rosji, lecz dwukrotnie więcej niż ludność Niemiec. Byłaby to mocna i trudna do pokonania bariera w stosunku do parcia niemieckiego na wschód. Każdy ze sfederowanych narodów zachowałby swą niezawisłość, dosto-

sowaną do konstytucji federacyjnej i podporządkowując się wspólnemu ciału, kierującemu całokształtem polityki ogólnej związku. Wspólna armia i wspólne wykorzystanie środków obrony strategicznej, zapewniłby nienaruszalność i bezpieczeństwo terytorium federacji.

Pod względem gospodarczym zasoby materialne strefy środkowej mogłyby jej nie tylko zapewnić egzystencję, lecz rokują nawet wielką pomyślność tym bardziej, jeżeli zostanie ona zaopatrzona w produkty przemysłowe i maszyny przez W. Brytanię i Amerykę. Strefa ta posiada W Polsce i Czechosłowacji wielkie zagłębia przemysłowe, posiadające szanse wielkiego rozwoju, tym więcej, że Niemcy, chcąc uniknąć strat od nalotów lotniczych, skoncentrowali lub też przenieśli ostatnio gros swego przemysłu do Czech, Austrii i na Śląsk. Jednym słowem sfederowana środkowa strefa nie tylko nie przysporzy kłopotów i odpowiedzialności państwom Sojuszniczym lecz ugruntuje pewien porządek polityczny i da wiele korzyści gospodarczych całemu kontynentowi europejskiemu.

Wiele przemawia za tym, że państwa strefy środkowej myślą poważnie o związku federacyjnym. Odpowiednie porozumienia zostały już zawarte, względnie znajdują się w trakcie rozważań między Jugosławią i Grecją, oraz między Polską i Czechosłowacją, a po zrzuceniu jarzma niemieckiego może nawet dojść do takiej ugody między Jugosławią i Bułgarią. Turcja również stara się stworzyć conajmniej federację państw bałkańskich. Pewien bezwład, przyzwyczajenie do wzajemnych kłótni oraz intrygi obcych państw muszą być przezwyciężone. Można liczyć na wzajemne porozumienie, gdyż większość tych krajów, to kraje rolnicze, posiadające niezaprzeczenie wiele cech wspólnych w strukturze społecznej zwyczajach i sposobie myślenia. Przede wszystkim zaś trzeba liczyć na to, że po ostatnich smutnych doświadczeniach, które przyniosły tym narodom tyle nieszczęść i strat, dojdą one do przekonania, że nie mogą liczyć na skuteczną pomoc wielkich państw, muszą przeto zorganizować się i w razie potrzeby stanąć obok siebie do wspólnej obrony, ożywieni jedną myślą i jedną wolą.

Wielcy Sojusznicy powinni udzielić pomocy państwom strefy środkowej. Ameryka niewątpliwie uczyni to natychmiast. Była ona od dawna przekonaną, że ciągle powtarzające się kłopoty i wojny w Europie są wynikiem zbyt wielkiej ilości suwerennych państw i dlatego też ciągle zachęcała do zjednoczenia narodów europejskiego kontynentu na wzór amerykański. Oblicze polityczne i etniczne Europy jest jednak tak zróżniczkowane, że trudno byłoby może na razie stworzyć ogólną europejską federację, lecz federacja części Europy napewno uzyska entuzjastyczne poparcie Ameryki i umożliwi jej całkowite i pełne zaufania uczestnictwo w dziele odbudowy i rekonstrukcji. Dla Francji zaś zjednoczenie krajów, zawsze niezmiennie ciążących ku niej, stworzy silne oparcie przeciwko agresji niemieckiej, i oparcie to niewątpliwie będzie mocniejsze niż gwarancje bezpieczeństwa, wynikające z jednostronnych sojuszów z poszczególnymi państwami.

Tego rodzaju federacja będzie również i dla Rosji poważną gwarancją jej bezpieczeństwa, które wydaje się być głównym motywem jej polityki zagranicznej. Wielki związek buforowy, o mniejszych rozmiarach niż sama Rosja, lecz dwukrotnie większy niż Rzesza niemiecka, będzie oddzielał Związek Sowiecki od Niemiec. Dla sowieckiej republiki dałby on lepsze zabezpieczenie, niż szereg słabych, oddzielnych państw. Mając zapewnione bezpieczeństwo swych zachodnich granic, Rosja bardzo łatwo upora się z każdym napastnikiem azjatyckim. Nie powinna ona mieć przy tym żadnego powodu do nieufności do tego rodzaju federacji, której jedynym celem byłoby zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa jej członków. Federacja środkowa, daleka od nadmiernie wybujałego nacjonalizmu, zadowolona, że jej niezawisłość jest w pełni honorowana, spoglądałaby na potężnego sąsiada jak na swego naturalnego sprzymierzeńca i niewątpliwie szukałaby z nim porozumienia nawet w sprawach mniej ważnych. Poza tym ponieważ w skład federacji wchodziłyby tak rusofilsko nastrojone narody jak Czechosłowacja i Bułgaria, polityka zagraniczna związku niewątpliwie będzie szukała zbliżenia z Rosją.

Europa zwraca również swe oczy w kierunku W. Brytanii. Jako centrum zamorskiego imperium, W. Brytania musi mieć wolne ręce dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa dróg i komunikacji morskich. Dlatego też, może nawet bardziej niż jej sprzymierzeńcy, dostrzega ona konieczność zjednoczenia Europy. Do narodu brytyjskiego Europejczycy żywią szczególne zaufanie. Jest to zaufanie do brytyjskiej stateczności i umiaru, wielkiego ducha tolerancji i trzeźwego realizmu, jednakowo wrogiego w stosunku do utopijnych mrzonek jak i rewolucyjnych prądów. Europejczycy są przekonani, że Brytyjczycy nie chcą panować nad innymi państwami i że pozwolą każdemu dążyć do własnego rozwoju i przeznaczenia, żyć i rozwijać się według swych własnych moralnych i społecznych tradycji, oraz wybierać sobie własną formę rządu. Ta wiara w właściwości i zalety rasy anglosaskiej uczyniła z W. Brytanii symbol sprawiedliwości. To też narody europejskiego kontynentu sądzą, że w słusznym i rozsądnym projekcie stworzenia federacji środkowo-europejskiej, Wielka Brytania odegra decydującą rolę.

Observer — a sprawy polskie.

Wejście wojsk sowieckich do Polski wysunęło znowu sprawę Polski i polskich ziem wschodnich na czoło wszystkich zagadnień politycznych. Wielka prasa całego świata dyskutuje sprawę stosunków polsko-rosyjskich, a po ostatniej odpowiedzi sowieckiej zaczęto się coraz poważniej zastanawiać, jakie są istotne cele i zamiary polityki rosyjskiej. Bardzo charakterystyczne stanowisko zajął "Observer", który do ostatnich niemal dni był nader krytycznie usposobiony do spraw polskich. W artykule tym co do rewizji granic, "Observer" popiera stanowisko Rosji. Pod względem moralnym z ogólnoeuropejskiego i sprawiedliwego punktu widzenia, staje całkowicie po stronie Polski. Artykuł "Observera" przytaczamy prawie w dosłownym tłumaczeniu.

Spór między Rosją a Polską przestał być sporem granicznym. Stał się on raczej pierwszą, poza polem walki, próbą ogniową Wielkiego Sojuszu, od

którego zależą nasze nadzieje, zarówno na pokój po wojnie jak i na zwycięstwo. W sporze granicznym sprawa Rosjan stała dobrze, a ich propozycja załatwienia tej sprawy była rozsądną. Lecz przez gwałtowne odrzucenie umiarkowanej odpowiedzi polskiej oraz przez złośliwy jej komentarz, Rosjanie wyraźnie zatrzasnęli drzwi, które sami przedtem otwarli.

Gdy Rosjanie oświadczają, że "obecny rząd polski nie życzy sobie ustalenia dobrych stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Sowieckim" wielu ludzi zrozumie, iż oznacza to, że Związek Sowiecki nie życzy sobie ułożenia dobrych stosunków sąsiedzkich z obecnym rządem polskim. Można tylko zgadywać jakie są zamiary Rosji. Ostąteczny sąd w obecnym stanie napięcia byłby przedwczesny i nierozsądny. Drzwi nie zostały jeszcze zaryglowane. Lecz wszelkie podejrzenia są nieuniknione. W najlepszym razie wydaje się, że Sowiety mogą chcieć wymusić rekonstrukcję rządu polskiego w Londynie oraz zawarcie porozumienia pod groźbą. W najgorszym zaś wypadku, że może być powołany i uznany jakiś marionetkowy rząd, nieskończenie mniej reprezentatywny niż rząd w Londynie, który pomino swych błędów i powiązania z elementami nieprzejednanymi, jest koalicją wszystkich głównych stronnictw.

"Moralność" i "niemoralność" są słowami rzadko używanymi obecnie w dyskusjach na temat polityki zagranicznej. Przyzwyczajono się raczej "patrzeć w twarz faktom i rzeczywistości" oraz być "realistycznym". Mieliśmy zaledwie kilka poważnych momentów, gdy brano pod uwagę "moralność międzynarodową", jako jedyną alternatywę, która może być przeciwstawiona rozstrzyganiu spraw zwykłą siłą fizyczną. Był taki moment we wrześniu 1938 r., gdy Czechosłowację wydano w ręce nieprzyjaciela. W dwanaście miesięcy później nastąpił drugi moment, gdy premier Chamberlain proklamował wojnę przeciwko "złym mocom". Obecnie nadchodzi moment następny.

Szeroko stwierdza się analogię pomiędzy sprawą Polski w 1944 r., a sprawą Czechosłowacji w 1938 r. Wówczas również zaproponowano załatwienie spraw terytorialnych, które samo w sobie nie było nieroz-

sądne. Wówczas również w żaden sposób nie można było zapobiec, aby strona skarżąca się nie wybrała własnej drogi załatwienia sporu. Wówczas również według pamiętnych słów Harolda Nicolsona, skarżący się, któremu ofiarowano ptaka w złotej klatce, nalegał na to, aby go mógł zastrzelić. Wówczas także pozorny spór graniczny stał się powodem kryzysu międzynarodowego zaufania i bezpieczeństwa.

To jednak, cośmy wprawdzie zrobili pod przymusem w 1938 r., chcąc być realistami i licząc się z faktami, okazało się niecelowe i niemoralne. I w tym leży podstawowa prawda, którą należy wziąść pod uwagę. Dla nas, jako wolnego kraju, rządzącego się zasadami prawa, jest nawet niecelowym świadome bronienie niesłusznej sprawy. Canning uznał kiedyś za konieczne przypomnieć parlamentowi, że dyplomacja "nie jest jedynie sprawą moralności, lecz również i sprawą celowości". Lecz obecnie należy przypominać rzecz odwrotną, że dyplomacja "nie jest tylko sprawą celowości, lecz również słuszności i moralności".

Można uznać żądania Rosji wobec Polski. Trzeba przyznać że Rosja posiada dość siły, ażeby zrobić to co zechce. Nie możemy i nie powinniśmy zastanawiać się nad zobowiązaniami i działaniami, do których brak nam zarówno siły, jak i usprawiedliwienia. Lecz "realizm" musi iść dalej. Bądźmy szczerzy. Jeśli czynu tego dokonano, jeśli prawa Polski i rządu polskiego są siłą odrzucane, wtedy deklaracja moskiewska i teherańska stają się świstkiem papieru.

Jest obowiązkiem i leży to w interesie ministra Edena i rządu brytyjskiego powiedzieć to wyraźnie w Moskwie. W interesie Rosji również jest, aby to jasno zrozumiała. Rosja napewno nie pragnie, ani nie będzie miała dość siły po obecnym ogromnym wysiłku wojennym, pójść po drodze wskazanej przez hitleryzm. Z pośród wszystkich mocarstw Rosja najbardziej będzie pragnęła i potrzebowała pokoju i odbudowy. Dobrobyt Rosji, podobnie jak i pokój w Europie, będą zagrożone, jeżeli deklaracja moskiewska i teherańska zostaną podarte i przekreślone.

Dlatego też istnieją wyraźnie realne powody dla-

czego "moralność międzynarodowa" musi być zachowana i podtrzymana nawet za cenę uprzejmości i grzecznych słów. Minister Eden znajdzie wzór do swego wystąpienia w przemówieniach wielu swych poprzedników na urzędzie ministra spraw zagranicznych. Musi on powtórzyć za Palmerstonem - również w kwestii polskiej - "realna polityką Anglii polega na tym, aby być stróżem sprawiedliwości i moralności, dążąc do tego umiarkowanie i rozważnie, nie stając się Don Kiszotem świata, lecz dając całą moc swej moralnej sankcji i poparcia wszędzie, gdziekolwiek sprawiedliwość musi być wymierzona i kiedykolwiek przychodzi do przeświadczenia, że zło zostało dokonane".

Wybór drogi należy teraz do Moskwy i szanse załatwienia sprawy jeszcze istnieją. My zaś mamy do odegrania doniosłą i honorową rolę.

Czy wiecie, że...



Gen Smuts-

Umieszczamy obok odbitkę portretu gen. Smuts'a, wykonanego przez polskiego żołnierza, kaprala M. Szołomiaka. Portret wręczony był sędziwemu dyplomacie w czasie pobytu brygady polskiej w Afryce Południowej, w drodze z Rosji do Wielkiej Brytanii.

Kapral Szołomiak wykonał swą pracę przy pomocy otrzymanej od dowódcy brygady fotografii.

Wykończony portret został wręczony gen. Smuts'owi przez delegację żołnierzy, znających język angielski. Stary generał był bardzo wzruszony tym dowodem pamięci.

Na drugim szkicu tegoż portretu generał napisał: "Oficerom i żołnierzom Brygady Polskiej, przebywającej chwilowo w Południowej Afryce, jak również i ich wielkiej Ojczyźnie, życzę wszelkiej pomyślności." - Szkic ten złożony został w muzeum z przeznaczeniem dla Muzeum Wojskowego w Warszawie.

Kapral Szołomiak, przebywający obecnie w W. Brytanii

opowiadał, iż gen. Smuts z zadowoleniem mówił o stosunkach między żołnierzami południowo-afrykańskimi a żołnierzami Brygady Karpackiej, w czasie wspólnie przebytych walk w Libii.

"Nikt", rzekł ten żołnierz-dyplomata, "nie może sobie życzyć bardziej szarmanckich i dzielnych towarzyszy broni".

Brytyjscy Spirytyści.

Wielka Brytania liczy w chwili obecnej ponad milion spirytystów, wyjawił Mr. Frank Hawken, sekretarz Marylebone Spiritualist Association, największego brytyjskiego stowarzyszenia spirytystycznego.

Spirytyzm ogromnie rozwinął się od początku tej wojny. Duża ilość nowych członków rekrutuje się z ludzi, którzy utracili na wojnie swych bliskich.

Sekretarz stowarzyszenia twierdzi: "Co może osieroconemu człowiekowi ofiarować kościół ? Jedynie nadzieję. Natomiast spirytyzm może jednak skomunikować żywych z duchami bliskich im ludzi".

Stowarzyszenie Marylebone liczy 4.000 członków. Roczna składka wynosi 10 szylingów. Każdy z członków ma prawo do specjalnie zaaranżowanego seansu, za opłatą od 15 do 25 szyl. Większość członków urządza seanse zbiorowe, złożone z siedmiu lub ośmiu osób. Opłata wynosi wtedy 3 lub 4 szylingi.

Mr. Hawken uważa że seanse w grupach są bardziej popularne, albowiem mniej kosztują i dają lepsze rezultaty niż z osobami pojedynczymi. Wszystkie seanse odbywają się w oświetlonych pokojach.

Najlepsze medium ciągną do Londynu, mają tam bowiem lepsze możliwości pracy. Wynagrodzenie medium waha się od 5 do 7 funtów tygodniowo. Wartość medium taksowana jest przez specjalnych sędziów, stwierdzających ich "rzeczywistą pracę", którą potrafią wykonać.

Najlepsze, najpodatniejsze mediumiczne jednostki potrafią wywołać duchy dla 75% uczestników seansu, mniej podatne tylko dla jednej czwartej.

Wielu ludzi nie należy do stowarzyszeń, ale potworzyło prywatne kółka domowe, zbierające się raz w tygodniu. Na tych zebraniach uczestnicy próbują skomunikować się ze swymi najbliższymi "z tamtego świata".

Pamiętnik Żołnierza.

T. Godziszewski

Po chwili ruszamy dalej, bo i granicę i pas pograniczny oraz słowacką wieś Lipnik musimy przekroczyć w nocy. A do Lipnika jest w prostej linii z osiem kilometrów takiejże drogi. Nie lecimy już wprawdzie jak przy starcie, ale pospieszamy ile możemy. Drapiemy się na jakieś strome góry, przedzieramy przez gąszcz świerków, zapadamy się w śnieg i co chwilę ktoś komuś musi podawać rękę. Wypoczywamy i znowu brniemy, aż przewodnik zatrzymuje nas w lasku na zboczu góry i szepcze, że to już granica i żebyśmy tu dobrze wypoczęli, bo będziemy znowu gnali. Siedzimy w milczeniu, palimy papierosy, trzymane w rękawach i słuchamy jakichś głosów, rozlegających się niedaleko, poniżej nas. Nie możemy jednakże zrozumieć słów, jak również i rozróżnić, w jakim języku jest mowa. Mocno przemoczeni, zaczynamy po chwili przykro odczuwać ostyganie na mrozie i wolimy przeto ruszać. Powoli i pocichu schodzimy zboczem, w przeciwnym od słyszanych głosów kierunku, a po zejściu na dół, znowu wyrywamy co sił za przewodnikami.

Szczęściem, droga nasza przedstawia się jako rozległe tarasy, obniżające się w kierunku marszu. W pewnym momencie, ze skraju takiego tarasu, widzimy w oddali wieś Lipnik, którą musimy przeciąć mniej więcej w środku, aby przedostać się do wąwozu prowadzącego w góry.

Za wsią teren się wznosi od razu i wąwóz, a raczej koryto strumienia jest teraz, według słów Wojtusia jedyną, możliwą do przebrnięcia drogą. Zjeżdżamy z urwiska i pocichu zbliżamy się do wsi. Przewodnik wyczekuje. Chce zobaczyć światło latarni nocnego stróża. Kiedy po pewnym czasie, widzimy je na prawym końcu wsi, daleko od nas, zaczynamy się skradać.

Przez jakiś ogród i parkan przedostajemy się na czyjeś podwórko. Potem między dwoma blisko stojącymi chałupami, nachylając się przy mijaniu okna, dochodzimy do drogi, czy też ulicy. Nakoniec przeskakujemy tę ulicę, wpadając między zabudowania po przeciwnej stronie. Tu budynki stoją luźniej, niema tylu przeszkód, więc znowu przyspieszamy tempa. Ale teraz, niestety. teren stale się wznosi. Przeprawa

udała się tak zgrabnie, że psy we wsi zaczęły szczekać dopiero jak byliśmy około 250 metrów za nią.

Stąd już nie forsujemy tak, bo osiedli ludzkich już przed nami niema, a droga będzie stale prowadzić pod górę.

Niedługo przed świtem wąwóz się rozszerza i przechodzi w rozległą dolinę, której brzegi porośnięte są pięknymi lasami, a której środkiem płynie, zasypany obecnie strumień.

Upadając ze znużenia, przemoczeni do nitki, docieramy nakoniec do pierwszego na naszej drodze pasterskiego szałasu.

Musimy doprowadzić się do porządku i należycie wypocząć. Przewodnik włazi na dach i wyłamuje sporą kupę gont czy też dranic, którymi szałas jest pokryty. Rozpalamy ognisko i zaczynamy się rozbierać, aby wysuszyć co i jak się da. Dla Jurasa mam w kieszeni dwie pary suchych skarpetek. Suszymy się, gotujemy herbatę i posilamy się. Obawy profesora z powodu odblasku zbyt wielkiego ogniska, Wojtuś zbywa lekceważącym machnięciem ręki.

- Komu się tu za nami będzie chciało leźć?

I, wskazując na nieskalaną biel śnieżnego kobierca, dodaje.

- Innych śladów, tu aż do wiosny nie będzie, jak tylko nasze.

Postój trwa ze dwie godziny i o białym już dniu ruszamy dalej. Złapaliśmy tak zwany drugi dech. Jurek nie skarży się na ból w stawie biodrowym, który mu dokuczał podczas pierwszej, forsownej części marszu. I posuwamy się powoli ale równo, naprzód, coraz wyżej i wyżej. Cisza kompletna. Na gładkim śniegu, nie widać nawet śladów zwierzyny, /za głębokie śniegi/. Co godzinę wypoczywamy, siedząc w śniegu, jak w fotelach i brniemy dalej. Kiedy w późnych godzinach rannych docieramy do drugiego szałasu, postój nasz nie różni się niczym od pierwszego. Chyba tym, że Jurek myje i wyciera nogi śniegiem, a potem śpi godzinkę przy ognisku. Coby matka powiedziała na to przed wojną?

Po dwóch godzinach znowu ruszamy i drapiemy się na o wiele bardziej strome zbocza Ryniawy. Szczyt, na którym stoi trzeci i ostatni szałas, osiągamy

około godziny 2-3 popołudniu. Widok, jaki się stąd przed nami rozwiera, jest rzeczywiście piękny, tym bardziej przy wspaniałym blasku słońca i bieli śniegu. Z prawa widzimy masyw wysokich Tatr, a za nami oglądamy po raz ostatni góry szczawnickie i Polskę. Patrzymy długo i wszyscy zastanawiamy się w duchu, kiedy też i którędy będziemy wracali.

Znowu dłuższy wypoczynek i narada. Stąd będziemy mieli drogę już tylko i ciągle w dół. Pozostaje jeszcze około 18 kilometrów, ale to już pójdzie łatwiej. Tylko, że w dole musimy przejść środkiem wsi Toporzec, bo innej drogi do Podolińca niema.

A wieś Toporzec zamieszkała jest przez Niemców-kolonistów. No, ale trudno, wyboru nie mamy. W wyniku narady postanawiamy, że profesor z jednym przewodnikiem ruszy naprzód, aby przygotować żyda-karczmarza na nasze przybycie, my zaś ruszymy w godzinę później, również dzieląc się na grupki, któreby mniej rzucały się w oczy, niż cały "tłum". W odpowiedniej chwili wyruszamy. Schodzenie wdół postępuje oczywiście znacznie prędzej i tu głęboki śnieg, nawet ułatwia sprawę. Przed zachodem słońca wychodzimy już na równinę, na drogę do Podolińca.

Wszędzie tak z tyłu jak i przed nami widzimy grupki ludzi lub sani, jadących w jedną lub drugą stronę. Rozdzielamy się. Pierwsi idą przewodnik i Pyzalski, potem ja z Jurkiem i na końcu dwaj nowi koledzy t.j. Olszewski i Wołyncewicz. Odległość staramy się utrzymać jaknajwiększą, byle się nie stracić tylko z oczu. Wygląd nasz uwagi nie zwraca. Stwierdziliśmy to, mijając ludzi i pojazdy. Niebezpieczeństwo grozi nam jedynie w razie zagadnięcia nas lub wszczęcia rozmowy, o co na wsi łatwo. Każda odpowiedź z naszej strony nas zdradzi, co w dużej niemieckiej wsi i na szlaku, patrolowanym przez Hlinkowską gwardię napewno na zdrowie nam nie wyjdzie. W pewnym momencie, z mijającej nas furmanki słyszymy pozdrowienie: "niech będzie pochwalony". Odburkuję niewyraźnie tak, żeby nie można było słów zrozumieć.

Kiedy wchodzimy do wsi już się zmierzcha. Walimy środkiem ulicy, nie za blisko chałup i stojących przy nich ludzi. Bałem się i to okropnie. ale nie o

siebie, a o Jureczka. Kiedy pomyślałem przez co by, w najlepszym nawet wypadku, musiał on przechodzić, włosy mi się jeżą i z przerażenia pot zimny oblewa. Myślę również o żonie, która teraz, biedaczka czeka w trwodze na kartę z Budapesztu i napewno jest chora ze zdenerwowania. Obiecałem jej, że dziecko przeprowadzę!

Niech już idzie ze mną do wojska, byle go tu Niemcy nie chwycili.

Pusta prawie na skraju wieś, im bliżej środka, coraz więcej się zaludnia. Przechodnie nas mijają ciągle. Na progach chat stoją ludzie i głośno rozmawiają. Idziemy milcząc, nie zwracając na nikogo uwagi i tylko od czasu do czasu szepczę do Jurka:

- Powoli, nie przyśpieszaj kroku.

Sam się też muszę ciągle hamować, aby kroku nie przyspieszać. Boże jaka ta wieś długa! W pewnej chwili ktoś zaczyna za nami wołać i myślę, że to do nas, ale jakiś inny głos po chwili odpowiada i uspakajam się.

Nakoniec światła wsi rzedną i wychodzimy na wolną przestrzeń. Ciemno już. Czuję się jak po chorobie. Przewodników nie widać, ale wiem, że mamy przed sobą prostą drogę około paru kilometrów i kiedy spostrzegam tor kolejowy, rozumiem, że zbliżamy się do celu.

Za zakręcie drogi prowadzącej do karczmy stoi Żyd i woła do nas, machając rękami -

- Prędzej, prędzej, tam, za stodołę!

Rzucamy się biegiem we wskazanym kierunku i wpadamy za stodołę na czekających już tam przewodników i profesora z Pyzalskim. Za chwilę przyłączają się i dwaj ostatni. Profesor wyjaśnia nam, że w Podolińcu był pożar, na który zjechała się naturalnie straż z "całej" Słowacji, a teraz pełno jest w karczmie "financów" i "czetników".

Po chwili nadchodzi Żyd i tłumaczy, że przyjąć nas nie może, ale jak chcemy to możemy 'sami sobie otworzyć" i wleźć do stodoły, bo on "nic nie wie". Ładujemy się więc do tej stodoły i staramy się zagrzebać w złożonej tam słomie.

Wyczerpani odrazu niemal momentalnie usypiamy, ale po chwili, przemoczone ubrania i buty, zaczynają marznąć na nas i budzimy się dzwoniąc zębami. Staram

się jak mogę ogrzać Jurka, ale nic nie pomaga, bo czuję jak cały drży i co gorsza zaczyna bredzić. Kiedy po pewnym czasie, Żyd zagląda do stodoły, tłumaczę mu, że mi dziecko zamarznie, więc zgadza się ostatecznie, wpuścić nas dwóch do kuchni.

W małej, ciasnej kuchence bucha od pieca rozkoszne ciepło. Żydówka nalewa nam dwa kieliszki "palenki". Jurek pierwszy raz w życiu pije wódkę, poczym rozbieram go i suszymy się przy piecu, racząc się gorącą herbatą. Ponieważ w międzyczasie strażnicy się wynieśli, "ale mogą jeszcze wrócić", karczmarz na moje usilne nalegania, zgadza się wpuścić do kuchni resztę towarzystwa. Za chwilę kuchnia jest zatłoczona parującymi postaciami kolegów. Umawiamy się z gospodarzem co do sprowadzenia nazajutrz samochodu, co on podejmuje się załatwić i rozliczamy się z przewodnikami. Na pożegnanie Wojtus oświadcza, że abyśmy ino wrócili, to nas oprowadzi po wszystkich karczmach naokoło Szczawnicy, i "to już darmo".

Co do noclegu, to sprawa przedstawia się tak, że u siebie w mieszkaniu karczmarz zatrzymać nas nie chce, bo się boi, ale karczma, t.j. izba od frontu "jest dla wszystkich", więc możemy się tam przespać a może nikt niepowołany nie przyjdzie. Nocujemy moszcząc się jak możemy na ławach, a o świcie znów przechodzimy do kuchni. Parząc się, pochłaniamy gorącą kawę i białe bułki, od dawna w Warszawie nie widziane. Gospodarz nasz idzie do Podolińca po samochód. Ile samochód miał kosztować, nic nam karczmarz nie mógł, czy nie chciał powiedzieć. Dowiedzieliśmy się jedynie, że poprzednicy nasi zapłacili już 1ooo koron.

Po śniadaniu przenieśliśmy się do stajni w podwórzu, gdzie pozostawało nam już jedynie cierpliwie czekać.

Po jakiejś godzinie wraca karczmarz i oznajmia, że karczma jest pełna różnych ludzi, więc jak przed podwórze zajedzie za chwilę samochód, to ani chwili nie zwlekając mamy wsiadać i odjeżdżać. Porozumieć się z szoferem możemy już za osadą. Nie bardzo mi się to podobało, ale zdawałem sobie sprawę, że i tak jesteśmy na łasce szofera, więc ostatecznie gdzie się z nim będziemy umawiali, nie stanowi wielkiej różnicy.

c.d.n.

Published by J. Stoliński Edinburgh, 43 [illegible]
[illegible]